

Ryszard Pasek

Sygnatura notacji: **N0139**

Data urodzenia: **22.02.1927 r.**

Data nagrania: **27.04.2008 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka, Warszawa, Polska**

Czas nagrania: **58 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Ryszard Pasek: Mam lat 82. Urodziłem się na południowo-wschodnich kresach II Rzeczypospolitej Polskiej, w Stanisławowie pięknym mieście u podnóża Wysokich Karpat. Do 12 roku życia mieszkałem z rodzicami w tym mieście, które wymieniłem. Gdy wojna wybuchła, w 1939 roku, pamiętam jak we wrześniu 1939 roku zdawałem egzamin do gimnazjum po prostu, można powiedzieć, przy huku bomb zrzuconych przez niemieckie samoloty, które zaatakowały te tereny. Gdy wojna miała się ku końcowi, w sensie polsko-niemieckim, Polska została podzielona między tak zwanych sojuszników, Niemcami hitlerowskimi a Rosją Sowiecką. Nasze tereny właśnie zostały wcielone pod rząd Rosji Sowieckiej. W 1940 roku nastąpiła konkretna czystka prowadzona przez rząd sowiecki na rozkaz Stalina w stosunku do Polaków, a szczególnie rodzin, których ojcowie, dziadkowie pracowali na różnych stanowiskach ówczesnych rządów Polski. Tak samo mój ojciec, uczestnik bitwy z bolszewikami w 1920 roku, później pracował od policji w Stanisławowie i w 1939 roku razem z armią Wojska Polskiego wycofał się dalej w kierunku Rumunii i na Bliski Wschód, jednocześnie ratując siebie przed, jak się później okazało, Katyniem i różnymi innymi obozami dla żołnierzy i oficerów Wojska Polskiego. Ojciec miał stopień wojskowy: podporucznik. Nas w wyniku tej sytuacji, jako niebezpiecznych dla władzy radzieckiej, tak określali oni... zostaliśmy wywiezieni 13 kwietnia 1940 roku, to był drugi dzień Świąt Wielkanocnych, raniutko matka usłyszała jakiś szum pod oknami domu, gdzie mieszkaliśmy, popatrzyła się, przed bramą stał wóz wojskowy i dom został otoczony przez żołnierzy sowieckich NKWD. Matka nas obudziła, znaczy mnie, brata i siostrę, bo ojca już nie było, bo ojciec już poszedł z armią na południe, wycofując się przed bolszewikami. I do mieszkania weszło trzech cywilnych agentów NKWD, sprawdzili, czy to właściwie matka jest tą osobą, mieli już wszystkie, po prostu z tego widać było, dokumenty nasze i powiedzieli, że trzeba w trzech godzinach się spakować, że zostajemy zabrani, ewakuowani, wówczas oni to powiedzieli, w głąb Związku Radzieckiego. Matka po prostu zaniemó-

wiła i pyta się, to, co jeszcze my rozumieliśmy po rosyjsku, a ponieważ znaliśmy język ukraiński, bliżej było się zorientować, o co tutaj chodziło. Powiedział, że rodzina nasza jest podejrzana władzy radzieckiej, że ojciec nasz był wrogo nastawiony do Związku Radzieckiego, walczył w 1920 roku, w policji i tak dalej, jesteśmy wrogami władzy radzieckiej, poplecznikami kapitalizmu, jak on wyraził się, ja tego w ogóle wówczas jako 12-letni chłopak nie rozumiałem, o co chodzi, brat i siostra stali, biedni, płakali. I tak się stało, że trzeba było pomóc matce spakować się. Przyszła ciotka jeszcze, babcia, pomogli nam w tym zapakowaniu się no i ciężarówka, i zabrano nas w godzinach południowych na dworzec towarowy w Stanisławowie. Tam już czekały wagony towarowe bydlęce, do których nas wsadzano. Wsadzono nas do wagonu, w wagonie, pośrodku wagonu, stał taki piecyk węglowy do ogrzewania tego wagonu i prycze do wagonu, nie pamiętam, ale gdzieś tak 6–7 rodzin w tym wagonie, co myśmy byli, zostało umieszczonych. Konkretnie mama się pytała tych oficerów radzieckich NKWD, dokąd nas wiozą. „O, pojedziecie do Związku Radzieckiego, tam będziecie mieli dobrze”. W tym czasie, to już było po południu, zgromadziło się bardzo dużo naszych Polaków, mieszkańców Stanisławowa, rodzin, których rodziny zostały właśnie przygotowane do wywiezienia. Płacz, lament. Wieczorem, gdzieś tak godzina była szósta, pociąg ruszył, a przedtem zanim ruszył, do każdego wagonu wszedł oficer NKWD i odczytał rozkład jazdy, że transport nas jest skierowany do północnego Kazachstanu. Mnie, młodemu człowiekowi, który się trochę tej geografii już wówczas uczył, szóstą klasę skończyłem, sobie nie wyobrażałem, że tak daleko mamy jechać. Ale jak to młodzi ludzie, traktowaliśmy to jako podróż, wycieczkę, a nie wiedzieliśmy, jaki przed nami czeka los. Matka o tym wiedziała. Starsi ludzie, po wagonie jak raz jechały osoby średnim wieku i starsze, oni sobie zdawali sprawę i mówili co nas czeka. Nas, młodych, w tym wagonie było około 10 osób, w takim wieku od 9 do 12–13 lat. I my, młodzi, na to patrzyliśmy różnie. Na razie podczas podróży... Podróż była ciężka, jechaliśmy trasą... Ile to już było od czasu, zaraz, 13 kwietnia myśmy wyjechali, 1940 roku, przyjechaliśmy tam, do północnego Kazachstanu, do Petropawłowska. To było miasto wojewódzkie na granicy zachodniej Syberii i północnego Kazachstanu. Przyjechaliśmy tu konkretnie pod koniec maja, czyli po prostu jechaliśmy przeszło miesiąc czasu. Widziałem tak przez okienko, jak w niektórych miejscowościach, tych stacjach, gdzieśmy jechali, grzebano umarłych naszych. Matka mówiła, no widzicie, to jest taki szlak znaczący Polakami na Sybir wywożących. Któryś tam z kolei raz. Podczas podróży dostawaliśmy raz dziennie posiłek gorący w postaci zupy albo jakiejś kaszy, co przynoszono nam we wiadrach do wagonów i tam starsi rozdzielali ten pokarm wśród pozostałych. I dostawaliśmy trzy razy dziennie tak zwany kipiatok, gorącą wodę, wrzątek, gdzie rodzice mogli zaparzyć herbatę, tam o kawie nie było mowy. To tyle, co mogła, matka zabrała herbatę i tak myśmy się utrzymywali. I jeszcze do tej zupy codziennie były dawane dwa bochenki chleba, czyli jak na taką ilość to każdy dostał po kromce chleba i musiało to starczyć na cały dzień. Ponieważ ja, jak powiedziałem, interesowałem się geografią, lubiłem geografę, gdy dojeżdżaliśmy do Gór Uralskich i właśnie tutaj powiedziano nam, tu jest granica Europy i Azji, jak raz to się tak złożyło, a ja ciekawiłem się, bo z geografii wiedziałem, że tam na trasie kolejowej czy drogowej stoją tablice mówiące, że tu jest Europa, a tu jest Azja. I akurat dobrze to się złożyło, że jechaliśmy w czasie dnia i wypatrywaliśmy wszyscy tę właśnie tablicę, i zobaczyliśmy ją. Duża tablica, czerwona z białymi literami: „Europa–Azja”. I tak to nas poruszyło, że w niektórych miejscach, przez pewien czas siedzieliśmy cicho i nic nie mówiliśmy do siebie. Jeszcze od Uralu to jechaliśmy, konkretnie prawie tydzień czasu, kiedy zatrzymała w nocy, myśmy spali, pociąg zatrzymał się, rano, do drzwi wagonów dobijają się enkawudziści, otwierają i mówi, koniec jazdy, patrzmy się, to miejscowość się nazywała Wasilówka. Dali nam żywność i stały już samochody ciężarowe, wojskowe, ZiS-y i na te samochody, każdy samochód już miał przeznaczoną trasę, do jakich kołchozów i miejscowości nas skierują. Kiedyśmy wyszli z wagonów, widząc ten sznur samochodów

ciężarowych, wojskowych, rozkazano, że na każdy samochód, co najmniej trzy rodziny może wejść. Gdy załadowaliśmy nas, ruszyliśmy. Widzieliśmy trochę gapiów rosyjskich, stojących przy dworcu, i pojechaliśmy. I pierwszy raz zobaczyłem, a to był już dzień, wstało słońce, maj, ale jeszcze były zielone, śnieg jeszcze leżał, jak mówiłem to koniec maja, potem zdaliśmy sobie sprawę, w jakich my jesteśmy stronach geograficznych. Samochody ruszyły w tę stronę, co myśmy jechali, siedem, naliczyłem, samochodów jechało. Jechaliśmy do tej miejscowości trzy dni i trzy noce, cały czas samochody jechały, jechały. Zimno było, zajeżdżały samochody gdzieś, do jakichś tam miejscowości, gdzie dawali nam wodę, herbatę gorącą, żeby się rozgrzać. Naprawdę było ciężko. A kiedyśmy już wyjechali, nie widzieliśmy żadnego lasu, nic, tylko równina, równina, czyli rozpoczął się step Kazachstanu. Jak po tym się zorientowaliśmy, co to jest. A tych dwóch konwojentów, co z nami się działo, mówi: „No, tu zobaczycie, jak to jest. Ale czy stąd jeszcze wyjdziecie żywi, to nie wiadomo”. Jeszcze z takim sarkazmem nam docinali. To taki jeden był podoficer, a jeden oficer, bo miał tam gwiazdki na swojej w tym czasie, pałkach przy kołnierzu, a jeszcze najemników armia radziecka nie miała w wojsku z symbolami w [niezrozumiale, 00:18:47]. Przyjechaliśmy, wjechaliśmy do wioski, dosyć takiej licznej, miała tak, jak ja od razu naliczyłem, trzy ulice. Nazywała się Kazanka, ta wioska. Pierwsze nasze miejsce pobytu. No a tam już podjechali pod urząd gminy, samochody, to jak aż było tych 7 samochodów, czyli tam było 14 rodzin. Więcej było rodzin, gdzieś około 20 rodzin na tych 7 samochodach, ale już patrzyliśmy, zobaczyliśmy, stały już samochody NKWD, cywilów i wojskowych, którzy tam już szykowali cały ten plan naszego pobytu. I konkretnie nas, dzieciaków, wzięli do innej izby, gdzie jest stół, trochę ciepło, zaczęliśmy ogrzewać się, a rodziców wzięto osobno, gdzie tam NKWD razem z tą władzą, tego kołchozu i tej gminy udzielali informacji i pouczenia. Jeszcze? Bo już zaschło mi w gardle. Podczas tego spotkania z rodzicami tej władzy radzieckiej zauważyliśmy, że do tego urzędu przychodziły osoby, mieszkańcy tej wioski, konkretnie którzy byli wzywani tam, na to spotkanie. Okazało się, że poszczególni mieszkańcy dostali polecenie, że mają przyjąć polskie rodziny do siebie na zakwaterowanie. Szczególnie można było tam zauważyć, że wszyscy ci kołchoźnicy mieli duże domy i było dużo wolnych pomieszczeń, jak się zauważyło. Myśmy dostali przydział do takiej pani, Rosjanki, pamiętam jej nazwisko czy imię, Haratełmowa. Wdową ona była, miała dwóch chłopców, jeden miał 15 lat, a drugi w takim samym wieku jak ja, chodzili do szkoły. Niewątpliwie ani ja... My wszyscy rosyjskiego nie znaliśmy, ale, jak powiedziałem, rozumieliśmy tylko tyle, że znaliśmy trochę język ukraiński, a muszę zaznaczyć jeszcze, wracając się do tyłu, że w szkołach polskich w II Rzeczypospolitej na kręśach południowo-wschodnich, szczególnie tu, Stanisławów, Lwów w szkołach podstawowych od piątej klasy uczyliśmy się już trochę języka ukraińskiego. Czyli to była bardzo ważna rzecz w formie traktowania tej społeczności ukraińskiej na równi z Polakami, co później było całkowicie zatarte i zlikwidowane przez władzę radziecką. Myśmy zostali tam skierowani, do tej pani, tam konkretnie ciężarówka podwoziła do każdego domu nasze bagaże, skromne bagaże, ale były te bagaże ciężkie do zniesienia. I konkretnie dostaliśmy taki pokój dla nas, jeden, ale pokój był prawie zimny, nieogrzewany z początku. Ale ona... potem, jak się okazało, z opątem było bardzo ciężko i ona sobie ledwo, ledwo, ta pani, radziła z opalaniem tego swego domu, a jeszcze dodatkowo tego pokoju, który nie był ogrzewany, bo stał pusty. I tak rozpoczął się pierwszy dzień. Siedliśmy wszyscy na tych swoich bagażach i milczeliśmy, i matka tylko powiedziała nam, co tu będzie, co będzie, co my tu będziemy robić, czy dożyjemy, czy tu już zostaniemy na wieki. I ponieważ myśmy na tej naradzie nie byli w tym zarządzie, mama nam opowiedziała, że powiedziano, że mamy być posłuszni władzy radzieckiej, nie wolno nam oddalać się od miejsca zamieszkania, na wszystko musimy żądać przepustki od NKWD, nawet wyjście poza rejon wioski musi być znane milicji i NKWD. Chcąc jechać do tak zwanego miasta powiatowego czy innej wioski, trzeba mieć pozwolenie od NKWD. Konkretnie był, całkowicie rygor,

zakaz i tam właśnie powiedziano naszym rodakom czy rodzicom, że jesteśmy Polakami internowanymi w Związku Radzieckim, jako nieprzyjaznymi władzy radzieckiej i jesteśmy wrogo usposobieni do władzy, i dlatego będziemy traktowani jako półwięźniowie. „Półwięźniowie”, było ciekawe określenie. I matka powiedziała: „Rozpoczniemy ten dzień i ten pobyt modlitwą”, i tak właściwie pomodliliśmy się, „Ojcze nasz”, „Zdrowaś”, a matka później odmawiała z nami różaniec, jak pamiętam, codziennie. Wieczorem to tak podtrzymywaliśmy się na duchu. Trochę mieliśmy żywności, bo matka przywiozła ze sobą trochę cukru, tam różnych innych takich prowiantów, jak to Rosjanie mówili, „suchych i półsuchych”, które podtrzymywały nas na duchu. Matka podzieliła się z tą gospodynią tego domu, tą żywnością, Ona była bardzo wdzięczna, bo jak potem się okazało, było bardzo źle z żywnością. Przyszły później ciężkie, ciężkie chwile, półgłodu, kiedy się skończyły zapasy. Pamiętam, mama przywiozła jeszcze ze sobą takie dwa dywany, a tak szczerze mówiąc, to ten jeden z tych oficerów radzieckich podpowiedział po cichu mamie, żeby wzięła coś cenniejszego, bo to się przyda w przyszłości. I faktycznie, przydało się to w przyszłości, bo dzięki tym właśnie dywanom dwóm, żyliśmy prawie cały rok, powstrzymywaliśmy się przed głodem. Do szkoły nas przyjmą, nie przyjęli, bo obcokrajowców, tym bardziej tego typu oskarżonych, nie przyjmowali do szkoły nas, byliśmy poza szkołą. Matka była z bratem i siostrą, a ja poszedłem pracować do kołchozu, jako 13-letni chłopak. Konkretnie pracowałem przy... normalnie, w tych robotach kołchozowych, przy orce, przy zbieraniu zboża, przy różnych tych pracach. I tam, w tym kołchozie, chociaż o tyle było to jako tako dobrze, że dostawaliśmy raz dziennie gorący posiłek i bochenek, taki kilogramowy, chleba. To niewątpliwie ja tam kawałeczek tylko zjadałem, a resztę przynosiłem do domu mamie, bratu i siostrze. Jedno co było, co nas najbardziej ciekawiło i radowało oczy, to ten piękny step kazachstański. Szczególnie wiosną, kiedy koniec maja, śniegi schodziły, i raptownie przychodził ten wiatr z tej pustyni Gobi, ciepły, gorący, od strony Chin, robiło się ciepło, wszystko się szybko rozwijało. Step po prostu płonął pięknym kwieciami. Kwiaty różne. Pierwszy raz widziałem, żeby dziko rosły tulipany, hiacynty, różne inne kwiaty. No i to, co dla nas najważniejsze, i to, co Rosjanie nam mówili, którzy po prostu jak się potem już tak zaprzyjaźnili z nami, powiedzieli, słuchajcie nas, to będziecie żyć na stepach, na stepie rośnie dużo takiej zieleni, witamin, których w ogrodach nie ma, tutaj, jakie tam ogrody były. Cebula, czosnek, różne zioła, pokazywali nam: zbierajcie to i jedzcie, uratujecie się. I faktycznie mieli rację, ponieważ po pewnym czasie, przy braku tych witamin rzucił się skorbut, wszelkie choroby. No nas, dzięki Bogu, naszą rodzinę jakoś ominęła ta sprawa tych chorób, ale pozostałych naszych rodaków, a szczególnie dzieci, ciężko cierpiały, nawet aż do zgonu. W kołchozie praca była ciężka, bo od świtu, od wschodu słońca, aż do zachodu słońca, za wyjątkiem tej przerwy obiadowej, była praca. Ja normalnie przy orce... A orało się nie końmi, bo konie wszystkie to poszły do wojska, na wojnę, a normalnie orka odbywała się wołami i trzeba było normalnie te woły poganiać. Traktorów też było bardzo mało, dużo traktorów odeszło też do armii. Tak że ciężka to była praca, a na takich stepach orka to się odbywała tak, że bez przesady, jak o wschodzie słońca wyszedłeś, to w południe szedłeś do drugiego końca i z powrotem mijał dzień. I tak trzeba było chodzić pieszo, aż wreszcie Rosjanie nas nauczyli jak jeździć na wołach, jak na koniu, jak to się jeździ. No była kupa hecy, śmiechu, bo się spadało z tego wołu, a wół, ten roboczy wół, z tyłu, na tym zadzie, to miał taką płaską kość, jak siedzenie, jak stołek. I tam dopiero trzeba było umieć usiąść, mieć taki bat, a takich sześć wołów szło przy takim pługu, i taki bat, żeby poganiać. I one bidaki szły, szły, tam i z powrotem. I taka była praca. Później, po pewnym czasie, jak chyba poznali się już na nas, Polakach, na naszej pracy i tak dalej, a pracowaliśmy tak jak należy, to mnie dali konkretnie do pilnowania i paszenia stada koni, razem z dwoma Rosjanami. To była fajna praca, ponieważ cały czas na koniu się jeździło, w siodle się jeździło, to wyglądałeś... przypominały mi się powieści, które czytałem, Buffalo Bill i inne, o kowbojach o dzikim zachodzie

i o tych koniach, stepy i tak dalej. Ale o! fantazja dziecięca chłopaka opanowała. I konkretnie przez dłuższy czas pracowaliśmy w tym kołchozie, w tej kazance. Nawet pracując przy tych koniach, kiedyś puściłem się za takim młodym koniem, bo uciekał, zawsze uciekał od stada, i puściłem się za nim, żeby go odgonić, złapać. nawet uczono nas rzucać pętle, takie te lasse na konie, żeby one... Ja to jak byłem za młody, za słaby, to mi się nigdy nie udało, a po drugie, brygadzysta, który tym kierował, taki był starszy pan, humorysta, mówi: „Chłopie, gdzie ty będziesz tym lassem rzucał? Ciebie porwie razem z tym lassem gdzieś i w ogóle potem nie znajdziemy ciebie”. I kopnął mnie jeden z tych koni, tak dostałem tu szramę, u nogi, prawie trzy tygodnie kulałem. Taki złośliwy był strasznie i kopał. To były te takie smutki, radości tej pracy w kołchozie.

Osoba pytająca: No i już wtedy nie głodowałeś, jak miałeś już przy tej pracy przy koniach, to...

Ryszard Pasek: Przy tej pracy i tak dalej dostawaliśmy trochę więcej jedzenia, to ja osobiście, prawda, nie głodowałem, ale to co dostawałem, resztę, to przywoziłem do domu, żeby matka miała i brat, i siostra, żeby nie głodowali mocno i tak dalej. No trzeba przyznać, muszę tutaj powiedzieć tak szczerą prawdę, że ci Rosjanie, którzy tam byli razem, żeśmy z nimi mieszkali w tej wiosce, pomagali nam bardzo. Chociaż sami dużo nie mieli, ale to co mieli, to dawali nam. Na przykład dali trochę ziarna, to ja miałem na takich żarnach, taką kaszę robiła mama, takie placki różne z tej mąki na żarnach, bo tam mąki się nie miało, bo się nie miało zboża do mielenia mąki, a miały wiatraki, młyny wiatraczne, kołchozowe. I trzeba przyznać, że ci Rosjanie nam poważnie pomagali. Bo gdyby nie ich pomoc, duża część Polaków by została tam w ziemi. To trzeba przyznać i trzeba konkretnie za to Rosjanom podziękować. Po drugie, pamiętajmy, że rosyjski naród był narodem pomimo tego, że władza radziecka tępiła, zlikwidowała wszystkie kościoły, tępiła wszelkie, jak to się mówi... namiastkę wiary w poszczególnych domach, no bo przecież nas na przykład zdziwiło, że w wyniku takiej nagonki antyklerykalnej, w ogóle religijnej, myśmy widzieli, że w domu... W każdym domu wisały ikony, w rogu domu wisała ikona zawsze Matki Boskiej czy Chrystusa, z takim światełkiem, tam szczególnie wkładali ten tłuszcz barani zamiast oliwy i on tak się świecił. I każdy starszy człowiek, młodzi nie, ale starsi ludzie przychodzili do domu, stanęli przed ikoną i się przeżegnali, i dopiero się skierowali do gospodarza z taką czy inną sprawą. Dla nas, Polaków, to było bardzo charakterystyczne i ja to zapamiętałem bardzo, bo mnie to ciekawiło bardzo. bardzo mnie to ciekawiło, że tak to wygląda. I później od tej pani mama tam załatwiła sprawę, jeszcze w towarzystwie drugiej pani z córką, bo córka to już była mężatką, mąż zginął w Katyniu, jak się potem okazało, już tu w Polsce, a mąż był tej matki policjantem. I myśmy załatwili sobie sprawę, że przenieśliśmy się od tej pani do innego gospodarza, do innego domu, a i się okazało, że jak to między ludźmi, mama się dowiedziała i potem nam powiedziała, że przeniesiemy się do pana, który się nazywał Potocki. I my wszyscy mówimy, takie polskie nazwisko Potocki. Skąd, tego... I tam myśmy, jak się sprowadzili, to był on, żona i było dwóch synów, i nas bardzo przyjęli pięknie, takie gospodarstwo, jak na tamte czasy było dosyć w porządku. Zaraz poczęstowali nas obiadem no i pewnego dnia, tak przy kolacji, poczęstowali nas kolacją, zupą, chlebem i mówi ten pan Potocki... bo żona to była Rosjanka, a on powiedział: „Ja jestem Polakiem, ja jestem prawnukiem powstańca styczniowego, którego ojciec został zesłany nad Bajkał i potem stamtąd wyjechał tutaj, do północnego Kazachstanu, tutaj gospodarkę założył, bo to jeszcze za carskiej Rosji. I myśmy tak tutaj zostali. Ja już nie umiem mówić po polsku, ale rozumiem wiele, bo myśmy trochę się uczyli, rodzice dokąd mogli to nas jeszcze, tego... ale tak już nie pamiętamy. I naprawdę tam mieliśmy dobrze. Tam mieliśmy dobrze, i pomoc mieliśmy... I ponieważ tam, w tej wiosce, było tylko sześć rodzin polskich, bo jedna osoba zmarła, starsza pani, potem okazało się, była

to hrabianka polska... Mama moja pojechała do miasta powiatowego, to się nazywało to miasteczko Priesnogorkowka, i tam już mieszkało 27 rodzin polskich, też zesłańców. Z tego samego transportu. A tam już tak zaproponowali mamie, żeby mama się przeniosła stamtąd, z tej wioski, tu, do miasteczka, zawsze tu jest miasteczko, i służba zdrowia, i tak dalej, tam lekarza, mówi, dostaniecie talony na posiłki do restauracji. No i myśmy się przenieśli z tamtej wioski. Żal było tym państwu Potockim, że my wyjeżdżamy i tak dalej, żegnali nas, myśmy się nie spodziewali, że nas tak pożegnają, Polaków, i przenieśliśmy się tam, do Priesnogorkowki. No i tam kolejny nowy rozdział naszego pobytu w północnym Kazachstanie. Taka różna jest propaganda antyrosyjska i tak dalej. Ja rozumiem, może być antysowiecka, może być taka, taka, ale w stosunku do ludzi trzeba umieć to inaczej ustawić. Bo naprawdę wiele Rosjan, wiele rodzin rosyjskich, bez nich my byśmy nie przeżyli. Pomagali nam, przynosili nam... To, wiesz, tam koło kołchoźnicy mieli prawo mieć jedną krowę, jedną świnie, no to było tak, że tam mleko zawsze od czasu do czasu przynieśli, tam, jakieś tam mięso, jakąś tam kiełbasę. Przecież ja pierwszy raz po trzech latach kiełbasę tam dopiero zobaczyłem. Śniła mi się kiełbasa. Tak że tutaj, pod tym względem, to wiesz... A z owocami tam nie było... To Syberia. Sadów żadnych nie było... Aha, były dwa rodzaje owoców, o, to zapomniałem. Była dzika wiśnia, rosła w krzakach tak jak porzeczki, i dzika porzeczka. Owocowało to w miesiącach: lipiec i sierpień. I to cała wioska chodziła na zbiór tych owoców, bo z tego suszyli, robili herbatę, jakieś powidła, soki i tak dalej, co przytrzymywało organizm.

Osoba pytająca: To witamina C.

Ryszard Pasek: Co? Witamina C. I plus tego, tam ten czosnek dziki, cebula dzika...

Osoba pytająca: Jak to smakowało?

Ryszard Pasek: Jak cebula, jak czosnek. Myśmy normalnie zbierali tego, przynosili do domu, mama przyrządzała, siekała na chleb, do zupy i tak dalej. I tak się tym podtrzymywaliśmy. Na przykład tak samo rosła w jeziorach... Bo w Kazachstanie to charakterystyczny był układ wodny. Na przykład była wioska i były dwa jeziora. Po jednej stronie było jezioro słonej wody, a po drugiej słodkiej wody. Ty sobie wyobrażasz? Taki cud natury? No i konkretnie z tej wody myśmy wygotowywali sól, słonej, a tu mieliśmy do picia. Aha, a na słodkich jeziorach rósł taki szuwar, taka trzcina. I jak ona zieleniła, myśmy szli, wyciągali tę trzcinę z tego jeziora i ona miała takie korzenie, białe takie rogi, i one były bardzo słodkie. I myśmy odcinali je, i jedliśmy. A mama robiła z tego taką sałatkę słodką. To była słodycz. I myśmy się śmiali...

Osoba pytająca: Cukierków nie było.

Ryszard Pasek: Myśmy się śmiali, Polacy, że to są banany rosyjskie. Cukierków? Pamiętam... W którym to roku? To był rok 1942, tak. Z jakiejś okazji rzucili do sklepów takie, jak u nas są te keksy, takie paczki, i cukierki, takie długie. Mówię ci, co przy tych... Jedna wojna była przy tych... przecież każdy chciał tych słodyczy troszeczkę. To myśmy tam z bratem stali pół dnia, żeby dostać coś. Dla dzieci, dla młodzieży. Słodkie, słodkie. Ja pamiętam, jak do wojska poszedłem, a w wojsku dostawaliśmy cukier, podczas wojny, na front, w kostkach. Kostka to były takie paczuszki w kostkach. To jak pierwszy raz dostaliśmy te paczuszki, to za jednym razem wszystko zjedliśmy. No tak, bo to człowiek

słodkiego potrzebował. Albo woda, jeszcze w kołchozie, jak pracowałem, potem woziłem zboże z tego kołchozu w takim transporcie, 8–10 wozów na stację kolejową, z tej wioski do tego było 160 kilometrów. Sobie wyobrażasz? Jechało się z końmi. I dostawaliśmy zapas chleba na drogę. To ja pamiętam, jak pierwszy raz dostałem zapas chleba, trzy bochenki, to półtora zjadłem od razu. A ten Rosjanin, który jechał, jak to się mówi, jako brygadzysta: „Ej, chłopcy, nie jedzcie, bo rozchorujecie się. Co będziecie jedli z powrotem?”. A co ty tam zrozumiesz, jak ty głodny byłeś cały czas. Całe 24 godziny człowiek głodny był. Tak że tak to wychodziło, kochanie.

Osoba pytająca: Teraz to się już nie zrozumie tego, nie.

Ryszard Pasek: Kto tego nie przeżył, kochanie, to nie zrozumie.

Osoba pytająca: Co to głód.

Ryszard Pasek: Co to jest głód. Oj, to jest straszna rzecz, głód. Nic nie dostajesz, chleba, nie... tego, w żołądku ssie, aż cię wszystko kręci.

Osoba pytająca: Ale to przecież...

Ryszard Pasek: Byle co jesz, byle co jesz. Korę z drzewa jadłeś.

Osoba pytająca: Jedliście?

Ryszard Pasek: No. Brzozową korę. Bo tajga syberyjska to w większości pokryta jest brzozą. Bo to jest wytrwały... Otwórz okno teraz, bo jest gorąco.

Osoba pytająca: Ale co jeszcze żęście...

Ryszard Pasek: Bo to jest drzewo bardzo wytrwałe na mrozy.

Osoba pytająca: A co żęście jeszcze jedli, oprócz...

Ryszard Pasek: Tę korę, spuszczaliśmy wiosną sok z brzozy, też bardzo dobry dla organizmu jako witamina C, łapaliśmy szczury stepowe, tak zwane susły stepowe i zdzieraliśmy skórę, skórę sprzedawaliśmy, a mięso matka gotowała, tak smażyła.

Osoba pytająca: I jak to smakowało?

Ryszard Pasek: Co?

Osoba pytająca: Jaki to był smak?

Ryszard Pasek: No smakowało jak mięso. Jak ty byłeś głodny i tak dalej, to do czego ty mógłbyś porównać to? Tak. O, co jeszcze? Wiesz, tam północny Kazachstan był bardzo, jak to się mówi, usadowiony dużą ilością jezior, jak mówiłem dzisiaj, i dużo ptactwa przylatywało tego wodnego, kaczek, gęsi, na lato. No i składały jaja. To my te jaja podbierali i jedliśmy. To był ratunek. Młode się wylęgły, zabierano je i pod nóż. Ratunek, ratunek.

Osoba pytająca: Co żeście znaleźli... Co tylko znaleźliście...

Ryszard Pasek: To się jadło. A jeszcze mieliśmy do towarzystwa wilki, lisy, to zaraztwo też chodziło i plądrowało, i zabierało nam to, co mieliśmy my dostać. I tak to, mój kochany, wyglądało życie nasze. Tak było. Potem przyszła wojna, wojsko... Tutaj to chociaż dostawałeś ten swój, jak to się mówi... tę swoją normę żywnościową, to się trzymałeś. Aj, tak, tak. To prawda. Jak teraz, wiesz, nieraz tak czytam i tak słucham, jak to ci młodzi naukowcy i tak dalej wszystko sobie lekceważą. Co tam ci ludzie i tak dalej, jak w ogóle nie zdawali sprawy, że ci ludzie właśnie tej ojczyzny pragnęli. Naprzód taka, żeby była ojczyzna wolna, żeby mógł mówić swoim językiem, uczyć i tak dalej. A kto się tam zajmował polityką czy innymi sprawami, tutaj, tak, no to się pracowało i było w porządku, klaskało się, to się klaskało, jak wszyscy klaskali. Żydek, Salomon [niezrozumiałe, 00:53:30] taki polski Żyd, też sierżant, jak się dowiedział, że ja dostałem taki awans, a on był w drugiej kompanii szefem, mówi: „Ty, a ty nie za młody jesteś na taką funkcję?”. A ja się tak na niego popatrzyłem, mówię, a co to, nie mogę być? Wiesz, widocznie docenili mnie. A nie chciałem obrażać, bo to, wiesz. Aha, nie skończyłem. I, rozumiesz [niezrozumiałe, 00:54:04] a to już było... To było już przed Kołbrzegiem, przed tym, jak byłem ranny. I [niezrozumiałe, 00:54:19] była przerwa, tu front, ale tu przerwa, i wzywają nas do sztabu batalionu na rozmowę. Se myślę, teraz? Co za rozmowa, jeden do drugiego? A taki przedwojenny też sierżant idzie i mówi: „He, he! Zobaczysz co oni będą chcieli od nas”. Jakby przeczuwał. Doświadczenie. Siadamy, zabrała się dosyć spora grupka. Wszedł dowódca [niezrozumiałe, 00:54:55], dowódcy kompanii i jakiś cywil, bracie, w jakimś starszym wieku. To się okazało, to polski komunista, z tego wówczas... już tej założonej Polskiej Partii Robotniczej z Lublina, i zaczął opowiadać bajeczki różne, a my prawie wszyscy to Sybiracy. I pierwsza kadra armii, pierwszej armii Wojska Polskiego, która się formowała w Związku Radzieckim po wyjściu wojska Andersa, to ci pozostali, którzy nie mogli pójść z tamtymi, poszli tutaj, do tego, bo wszyscy chcieli iść do ojczyzny. Ja pamiętam, jak wszedłem do wojska, to matka mi mówiła: „Idź, Ryszard, ty do Wojska Polskiego. Nie wiem...”, mówi... Sama matka mówiła, co to za wojsko, ale idź, ale nazywa się „Polskie”. Mówi: „Może pierwszy dojdiesz do ojczyzny jak my, jeżeli dojdiesz”. Tak jest. I to nie tylko mnie tak wysyłano. Zaczął pana wychwalać, a wiara tak siedzi, głowy pospuszczała i się uśmiecha. Przecież co on będzie nam tu bajki opowiadał, tak jakbyśmy byli wczorajsi. I, tego, mówi... Skończył i tylko były dwa czy trzy pytania: kiedy dostaniemy więcej wódki w wojsku i więcej chleba. A on zakończył i mówi: „Mamy propozycję, żeby kadra, starsza kadra podoficerska, oficerska, zgłaszała swoją chęć na członkostwo do partii PPR. PPR. Ja pamiętam, że mój ojciec był w PPS-ie i mój dziadek, w Polskiej Partii Socjalistycznej. A w żadnych komunistycznych partiach nie był i powiedział, że z komunizmem nic nie chcę. A jak ja byłem tam, to już w ogóle [niezrozumiałe, 00:57:14] To potem mnie tak ciapnęło, człowiek pracował i tak należał do tej partii, i tak potem, jak to się mówi, pracował na rzecz Polski Ludowej, no bo jak inaczej? On pracował na rzecz ojczyzny, a nie na takie czy inne... I pamiętam, tylko posiedzieli, pokiwali głowami i rozeszliśmy się.